



## ZŁOTY PTASZEK

NOVELKA.

Był to rozkoszny przybytek — coś, niby z tyśiąca i jednej nocy — ten ciepły wonny buduar niebieski.

Błado-niebieski plusz obić i mebelków srebrzył się przy świetle alabastrowej lampy, jakby fale w blasku księżyca; srebrzyste draperie spływały od sufitu, rozścielając się po ścianach i układając nad drzwiami w kunsztowne a pełne fantazyi fałdy... Gdzieś tam, w pomiedzy draperii lśniły wysokie tafle weneckie, odbijając w swem przeźroczu palmy, rododendrony, storczyki i heliotropy, napelniające buduar delikatną wonią. Wszędzie wokoło na małych stoliczkach, wykładanych emalią, porozrzucone leżały kosztowne albumy, wachlarze z koronek, kosze z żywymi kwiatami i różne malutkie a wytworne cacka i graczki, które stanowiły urok tego czarownego gniazda.

Prześliczna postać alabastrowa, przedstawiająca noc, symbolicznie unosiła się ponad niebieską draperią, opływającą falisto szerokie misternie rzeźbione łożo. Na łożu tem bielala, niby śnieg, niezliczona ilość koronek i haftów, pod którą nikły zupełnie cieniotki, przejrzyste tkaniny pościeli. Koło marmurowego kominka stała duża niebieskim pluszem okryta otomana.

Biała powiewna postać, z założonemi pod główką rękami, spoczywała na niej nieruchomo.

Była tak drobną, delikatną a zarazem tak śliczną, że mogła uchodzić za jedno z cacek, zdobiących buduar.

Twarzyczkę miała malutką i bladą, o rysach wytwornych; usta maleńkie, bladą różową, rozchylały się pogodnym uśmiechem; oczy duże, jasnoniebieskie, o pysznej oprawie, miały wyraz trochę dziecinny, ciekawy...

Z otomany spadały aż na tygrysią skórę, długie jasne warkocze. Bujość ich była nadzwyczajna, zdawało się niemożliwym, aby tak mała główka była w stanie udźwignąć ten wielki ciężar. Warkocze miały barwę płynnego złota i w zagięciach tworzyły refleksy, poprostu cudne.

Zadzwoniła.

— Która godzina? spytała nadchodzącej pokojowej.

— Siódma, proszę pani...

— Nie było nikogo...

— Nie, proszę pani...

— Dobrze, możesz iść...

Ziewnęła i rozkosznym ruchem przeciągnęła się na otomanie.

— Co to jest, że nie przychodzi — szepnęła do siebie powoli. — Może go coś zaskoczyło?

Oczekiwała lekarza.

Niedawno dopiero podniosła się z długiej, ciężkiej choroby — przedtem nie chorowała nigdy. Mając lat siedemnaście wyszła za mąż za człowieka, którego nie kochała wprawdzie, ale była doń szczerze przywiązana za nadzwyczajny przepych, jakim ją otoczył. Żyli ze sobą przez lat pięć w zupełnym zadowoleniu. On ją ubóstwiał, nosił niemal na rękach i nigdy nie nazywał inaczej jak:

— Ptaszku mój złoty!

Była też rzeczywiście drobniotką, wesołą i szczerbiotliwą jak ptaszek; w życiu swem nie zaznała, co to strapienie lub zły humor; nikt nigdy nie dojrzał skrzywienia na jej uśmiechniętej twarzy. Była jedną z tych rzadkich natur kobiecych, co to do końca życia pozostają dziećmi. W

przeciągu lat pięciu pożycia z mężem, straciła rodziców, którzy umarli spokojni, widząc ukochaną jedynaczkę, otoczoną wszystkim, co miłość i bogactwo dać może.

Ale wkrótce po nich umarł i mąż.

Cios ten odczuła boleśnie. Płakała po nim dniami i nocami, zdawało się jej ciągle, że słyszy ostatni szepł jego, drżący niewyraźnie:

— Bądź zdrow, ptaszku mój złoty!

Potem przyszła choroba. Chorowała długo i ciężko, na koniec jednak dzięki nadzwyczajnemu poświęceniu się lekarza, przyszła do siebie i podniosła z łoża.

Rekonwalescencya trwała nierównie dłużej. Delikatny organizm, zniszczony chorobą, z trudnością odżywał na nowo. Pogarszała jeszcze wszystko jesień. Lekarz przychodził codziennie. Cieszyła się zawsze samą nadzieją odwiedzin — była to jej najmilsza rozrywka.

Wraz z polepszającym się stanem zdrowia, zacieraly się w jej duszy ślady przejść ciężkich i pogodna jej dziecięca natura budziła się do życia. Zadowolona była ze wszystkich, ze służby i siostry Maryi, którą w ciągu choroby pokochała serdecznie. Lekarza uwielbiała za to, że ją ocalił. Życie cieszyło ją ogromnie.

Zegar wybił ósmą i równocześnie prawie z ostatniem jego uderzeniem, donośny głos dzwonka odezwał się w korytarzu.

— Idzie, zawołała radośnie.

Był to mężczyzna około czterdziestu lat, muskularny. Bujny włos czarny, zczesany z czoła, przyprószony był siwizną. Główną ozdobą twarzy było dwoje wielkich czarnych oczu, tłących niepospolitym blaskiem. Wogóle była to twarz poważna, niemal surowa, lecz szlachetna i wzbudzająca zaufanie.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór. Ach! jak to dobrze, że pan przyszedł. Czekam na pana z niecierpliwością, czekam i doczekać się nie mogłam! Myślałam, że już pan dziś nie przyjdzie.

Surowe rysy lekarza rozjaśniły się jakimś błogiem wewnętrznym wzruszeniem, ogarniającem go zawsze, ilekroć patrzył na tę śliczną drobniotkę istotkę, której życie było jego dziełem.

— Nie byłoby to nic nadzwyczajnego, — od-

rzekł — moje wizyty nie są już dla pani niezbędne...

— Niezbędne! — przerwała młoda kobieta, uśmiechając się radośnie — gdyby pan był nie przyszedł, byłabym płakała cały wieczór.

— Zdaje się pani...

— O nie! nie zdaje mi się, z pewnością. Nie mogłabym się obejść bez pańskich odwiedzin.

— Dziecko z pani! — uśmiechnął się pobłażliwie. — Ależ one i tak niedługo skończyć się muszą... Pani wyzdrowieje zupełnie i...

— To rozchoruję się na nowo! Umyślnie!

— Ale i to nie pomoże. Wysłać muszę panią, wysłać daleko... Do Włoch...

— Do Włoch? — spytała przerażona — do Włoch? A cóż ja tam sama robić będę?

— Może pani znaleźć sobie towarzyszkę, lub co lepiej, towarzysza.

Błada twarzyczka rozjaśniła się.

— Pan mógłby pojechać tam ze mną? — spytała nieśmiało, jak dziecko, które się boi, by mu nie odmówiono zabawki, której pragnie.

Doktorowi krew uderzyła do twarzy.

— Cóż znowu? rzekł szorstko, lecz głos mu drżał nieznacznie — a cóżby się tu działo z moimi chorymi? A żona, a dzieci?

Lecz spojrzawszy na jej zasmuconą twarzyczkę, uspokoił się odrazu. Wziął jej małe rączki i pocałował je w swych dłoniach.

— Jesteś pani trochę dziecinna, pani... pani... jak pani właściwie na imię?

— Helena.

— A innego pani imienia nie ma.

— Nie.

— Wie pani, ile razy chcę do pani przemówić po imieniu, zawsze mi to nie może przejść przez usta. Helena — to za długie, za surowe imię dla pani...

— W domu wołali mnie Dusią. Ale najśłodziej zwał mnie mój mąż. — Wie pan, mówił mi zawsze: ptaszku mój złoty...

— To dobre dla pani imię. Ale przecież tak do pani mówić nie mogę.

— Ciekawam, jakby to brzmiało w ustach pana! — No? Niech pan raz powie, no proszę, raz tylko...

— Ależ...

— Raz, jedyny raz. Złoty kochany doktorze!

Była tak piękną z tą dziecinną, pieszczotliwą miną, że nie mógł się jej oprzeć... Zresztą w sercu mu zawrzała szalona pokusa.

— Ptaszku mój złoty! — wyszeptał namiętnie i pochylając się nad nią, dotknął ustami jej czoła. Przymknęła oczy, wyraz niewypowiedzianej słodyczy zajaśniał na jej twarzy.

— Tak długo czekałam na to — rzekła po chwili poważnie, jakby do siebie.

Doktor zerwał się z taboretu i pocałował szybko mi kroki przechadzać się po buduarze.

Należało się ratować czempredzej. Czuli, że w obec tej kobiety zdołałby zapomnieć o wszystkim. On, syn ludu, który własną pracą zdobył karierę, on, człowiek trzeźwy, praktyczny, surowo swe obowiązki pojmujący.

Najwyższy czas, by ratować ją i siebie.

Zbliżył się do niej i usiadł opodal w fotelu.

— Pojadę do Włoch? — spytała z anielskim uśmiechem.

— Pojedziesz pani — rzekł łagodnie lecz i stanowczo. — Pojedziesz pani, bo to jest dla zdrowia konieczne... konieczne...

— Dobrze pojadę — odparła po chwili — ale ja tam umrę doktorze.

— Dzieciństwo! Tam właśnie przyjdiesz pani do zdrowia. Mentona cudna jest...

— Umrę w tej Mentonie...

